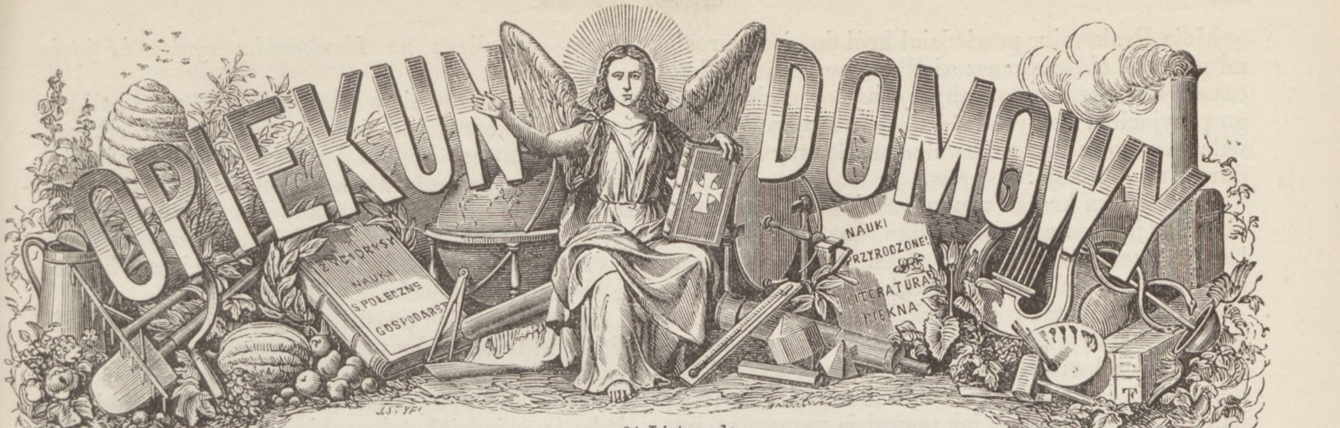


Warszawa dnia 24 Listopada / 6 Grudnia 1865 roku.

Nr 49. Cena w Warszawie 40 gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). Rok I.

DROGA SERPIACHY.

(PODANIE LUDOWE).

W okolicach Kaniowa idzie jedna droga, która jest przez lud tamtejszy za bardzo złowieszczą uważana, tak, że często można usłyszeć Ukraińca, który rozgniewawszy się, klnie: „*A szczobyś popaw na Serpażyn szlach.*" (A bodajżeś poszedł drogą Serpiachy). Już to nie jeden kusił się o to, aby zbadać i wytłumaczyć, co to za droga czyli szlak był, i kto to taki ten Serpiacha. Ale wszelkie te wywody jakoś niezadawolniają jeszcze, bo się do prawdy niedomacano, a tylko porobiono różne przypuszczenia mniéj lub więcéj do prawdy podobne. Lud Ukraiński opowiada o początku téj drogi pewną swoję historją, a koniec jego podania zgadza się niejako z wywodem naszego badacza, pana Izopolskiego, który mniema, że ta droga nosi nazwę od Serpiachy, hetmana kozackiego zwanego *Podkową*, którego ścięto we Lwowie, jednak nie jako hetmana kozackiego, ale jako przeniewierczego wojewodę multańskiego. Ciało jego odprowadzili potem kozacy do Kaniowa na spoczynek. Otóż ludowe o téj drodze takie jest podanie:


Wchodzą do karczmy, w któréj zastali kilkoro ludzi gwarzących,—(str. 390, szp. 1).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Szymborski).

W pewnem odległem od Ukrainy królestwie, miał król śliczną córkę, z którą jednak sobie rady dać nie mógł, gdyż była wielką czarownicą, i nie mogła dnia przebyć spokojnie, żeby komu nie robiła jakich psot szkodliwych. Stroskany ojciec któremu przez to już życie obmierzło, udał się raz do sławnéj znachory, aby się dowiedzieć, coby robić należało, żeby jego córka nie była tak nader złośliwą.

Wróżka mu na to odpowiedziała: że nie ma innéj rady, tylko ją trzeba będzie wydać za mąż jak najprędzéj; bo chociaż ona i wtenczas będzie robić po dawnemu, to wszakże mniéj dokuczy już i ojcu i narodowi; bo cały ciężar jarzma spadnie na najdroższego mężulka.

Królowi ta rada mocno się spodobała; myślał bowiem sobie: już to pewnie takie przeznaczenie mężów, żeby tu na ziemi ponosili męki czyscowe, za toć też oni wprost do Nieba idą, co się starym kawalerom prawie zupełnie nie zdarza. Dobrze więc, że choć i jednemu tak się moja córka przysłuży, że z palmą męczeńską powędruje do raju; może jéj to kiedyś nawet za zasługę policzą, że raj jednemu człowiekowi zgotowała. A ja tymczasem odpocznę sobie trochę, co mi też na moje stare lata wcale niezawadzi. Uradowany zatem pomysłem wróżki, że się będzie mógł pozbyć raz przecie *licha* z domu, poszedł zaraz do komnat zajmowanych przez córkę, aby ją wybadać, czyby nie była przeciwna tym jego projektom,

Moja Praksysiu, powiedział król do niéj, wyrosłaś mi pięknie, oblicze masz gładkie, posag też nielada, czasby też zatem było, abyś o wyborze dozgonnego przyjaciela pomyślała, i abyś swą ręką uszczęśliwiła jednego z wielu kawalerów, którzy ci już oddawna nadskakują.

Na to córka krótko mu odrzekła, że się namyśli, ale że to jeszcze nie tak prędko nastąpi, gdyż jest bardzo szczęśliwa w stanie dzisiejszym, a przytem, jest jeszcze młoda, więc czekać długo może.

Usłyszawszy taką odpowiedź, aż ciarki po królu przeszły, gdyż widział, jak te złote jego marzenia odrazu się rozchwiały, żeby rzucić komuś na kark biedę, z którą już sobie dać rady nie może. Nie tracąc jednak jeszcze nadziei, jak począł ją namawiać, prosić, aby mu raz choć to szczęście przyniosła, żeby za życia jeszcze mógł widzieć swe wnuki, tak tyle dokonał, że się wreszcie córka jego zdecydowała na zamężcie, tylko pod pewnemi jednak warunkami które były takie:

Żeby konkurent przyjechał do niéj na koniu nie wyższym nad dwa łokcie od ziemi, i podniósł sierp, który ona każe zrobić naumyślnie dla niego, i tym porznął cały łan pszenicy. Kazała też zaraz ukuć ogromny sierp ze stali, który był tak ciężki, że go stu ludzi zaledwie uniosło, ale aby żąć nim swobodnie, trzeba było jeszcze być daleko od tych stu ludzi mocniejszym.

Zafrasował się król bardzo, ale gdy już żadne perswazje nic nie pomagały, wyprawił posłów na wszystkie strony świata, aby szli i szukali dla córki męża takiego, jakiego ona żądała. Posłowie ci chodzili długo po świecie, aż nakoniec przybyli w okolice Kaniowa.

Wchodzą zatem do karczmy, w któréj zastali kilkoro ludzi, gwarzących sobie o tem i owem. Kazali podać sobie kwartę anyżowéj wódki, i kilka śledzi wędzonych, ponieważ to akurat w piątek było i poczęli pić i jeść sami, częstując zarazem obecnych, i rozpytując się, czy przypadkiem nie widzieli lub nie słyszeli gdzie o takim siłaczu, coby mógł podnieść i żąć takim sierpem, co go ledwie stu ludzi udźwignie.

Jeden z obecnych, człowiek bez ręki, powiada: Oj jest! Ja znam takiego chłopa, co ma syna; już teraz musi być z niego dorosły kozak, bo to już temu ze dwadzieścia lat, jak on jeszcze łażąc na czworakach po ziemi, kiedym mu się sprzeciwiał, choć już byłem pod wąsem, porwał mnie za rękę i z taką mi ją urwał łatwością, jakby nieprzymierzając jakiéj musze nogę. Kiedy potem podrastał, to dziwne rzeczy wyrabiał. Ot naprzykład, raz wszedł do karczmy i kazał dać wódki. Arendarz zapytał go a czy ma pieniądze? A skoro ten siłacz nic na to nie odpowiedział, to mu też i wódki nie dano. Rozgniewany siłacz wziął jedną kufę wódki pod lewą rękę, a drugą pod prawę i wychodził z karczmy; a gdy go arendarz chciał zatrzymać, to jednem uderzeniem nogi tak go za to trącił, że biedny arendarz uderzył o ścianę jak kula, wybił w niéj dziurę i na miejscu skonał.

Usłyszawszy to posłowie, uradowali się niezmiernie, to też poczęli zaraz wódką, piwem i miodem częstować wszystkich, a zwłaszcza tego bez ręki człowieka, wypytując się, gdzieby ten siłacz mieszkał. Znowu ów człek bez ręki, robił z tego jakąś tajemnicę, ale mu wkrótce anyżówka rozwiązała język, i powiedział, że ojciec siłacza mieszka w Kaniowie, a sam zaś siłacz *na Kaniowskim rynku: hrajetsia w Swynku.*

Dowiedziawszy się o tem posłowie, pojechali zaraz do Kaniowa, i odwiedzili ojca owego siłacza, któremu dawszy bogate dary, prosili go, aby im dał syna swego na męża dla królewny. Ojciec na to się zaraz zgodził i posłał poszukać siłacza, który wszedłszy w czapce na bakier do izby i usłyszawszy, o co to chodzi, wręcz powiedział, że ani chce wiedzieć nawet o téj królewnie.

Zaczęto go więc prosić, a najbardziéj ojciec, który już widział, coby to za korzyści dla jego domu wyniknęły z tego małżeństwa. Wreszcie zmuszony naleganiami i prośbą, siłacz dał posłom swoje krzesiwko i powiedział, żeby sobie z Bogiem jechali spokojnie do domu, a on za trzy dni wybierze się za nimi w drogę. Gdyby go jednak nie było, to niech podniosą do góry dane im krzesiwko, a wtenczas jeżeli się ukaże siwy obłoczek na Niebie, znaczyć będzie, że on już jedzie. A jeżeliby się pokazała czarna chmura, to będzie oznaką, że jeszcze się z domu niewybrał, i niech przyślą kogo dowiedzieć się o przyczynę tego.

Wkrótce odjechali posłowie do domu. Minęło trzy dni, siłacz jednak ani myślał o wyjeździe z domu, pomimo ciągłych nalegań ojca. W kilka też dni przybyli znowu posłowie, dowiedzieć się o przyczynie zwłoki, Siłacz im odpowiedział, że nie wprzód do nich przyjedzie, aż mu przywiozą portret królewny. Stało się jak żądał; siłacz znów jednak nie pojechał, a posłom powiedział, że nie wie jaki jest ciężar tego sierpa, więc aby mu go na pokaz wprzód przywieźli. Gdy i to spełnili, lubo z największą tylko trudnością, wówczas siłacz za warunek położył, aby ten sierp z Kaniowa do królewny po ziemi ciągle ciągnięto, coby mu zrobiło znak, którędy ma jechać na swaty. Posłowie i na to się zgodzili i odtąd na Ukrainie zrobiła się Sierpiachy droga, czyli *Sierpiażyn szlach*, jak mówią Ukraińcy, a od tego tak nazwana, że ją zrobił serpacha, to jest ogromny sierp.

Siłacz po tem wszystkiem rad nie rad, musiał się już wybierać w drogę. Chodziło mu jeszcze o konia, ale i tę kwestję ubito, bo wynaleziono żądanego konia, który lubo był dwa łokcie tylko wysoki, ale silny jak słoń, lubo tak brzydki, że ludzie schodzili się z daleka, aby obejrzeć jego niekształtność i brzydotę.

Po powrocie posłów do domu, podniesiono krzesiwko do góry, i już nie czarna chmura, jak to bywało zawsze przódy, ale siwy obłoczek pokazał się na Niebie. Radość w domu królewskim była jak największa, zaczęto robić jak najświetniejsze przygotowania do obchodu wesela. Przybył wreszcie i siłacz na swym koniu, a ponieważ się ogarnął przystojnie, więc wcale pokaźnie wyglądał, tak, że nie jednéj z młodych tu zgromadzonych aż serce silnie zabiło. Siłacz przywitawszy wszystkich, wziął sierp do ręki, rzucał go w powietrze i łapał, pokazując, że jest dla niego jak piórko lekki. Poszedł na pole, urznął cały łan pszenicy i tyleż żyta.

Dokonawszy téj czynności, powiedział, że chce odjechać do domu, nie pragnąc być mężem królewny, ani też późniéj posiadać królestwa na nią przypadłego. Próżno go wszyscy prosili, aby zaniechał takiego postanowienia, próżno sama królewna robiła co mogła, aby go sobie zjednać, gdyż kobiety, dodaje podanie ludowe, to tak zawsze jak błędny ognik na błotach, czem bardziéj od nich uciekasz, tem cię one więcéj gonią, a im ty się bardziéj za nie-

mi ubiegasz, tem więcéj one cię unikają. Taka to już ich natura, i pewno już jéj chyba nie zmienią. Otóż i z naszym siłaczem kozakiem, tak się rzeczy miały, że chciał sobie wolno do domu odjechać, to go wszyscy zatrzymywali, a królewna Bóg wie co za przymilenia robiła, ale wszystko to było nadaremnie, bo upór w kozaku był wielki, tak, że jak raz powiedział, że nie chce, tak i ciągle nie chciał. Wówczas król rozgniewany, kazał mu ściąć głowę, a ciało odesłał do Kaniowa na większy żal ojcu, co miał syna takiego prostaka, który nie chciał królewny za żonę, ani też pięknego królestwa w posagu. Podanie jednak dodaje, że od tego czasu zupełnie się królewna zmieniła; długo bowiem zostawała w smutku pogrążona, a jak ten nieco przeszedł, to zaprzestała dokuczać ludziom, swemi czarodziejskiemi sztuczkami. Konkurentów jawiło się ciągle mnóstwo, bo panna była sobie niczego, a w posagu miała obszerne królestwo, gratka co się nie często trafi, ale cóż, kiedy była ciągle aż do zgonu wierną pamięci kozaka, po którym często płakiwała, to też prędko dała wszystkim kosza, a sama dobrowolnie aż do śmierci rutkę siała. *Zygmunt Gawarecki.*

LISTY ZE SZLĄSKA.

(Korrespondencja Opiekuna Domowego).

I.

Landek.

O szóstéj z rana otworzyłyśmy okno naszego pokoju: Landek spoczywał jeszcze w lekkiéj mgle porannéj, a Bielen Quelle toczyło się z hukiem i szumem u stóp gór spokojnych, nieruchomych, niosących już na czole pierwsze promienie słońca. Zachwycający był ranek, nic piękniejszego jak góry! Na ich widok dusza i oczy podnoszą się z ziemi i uciekają gdzieś w obłoki. W świecie fizycznym jak w świecie moralnym są rzeczy, co koniecznie dźwigają wzrok ku Niebu: nadzieja i tęsknota, miłość i wiara, to są gwiazdy duchowego firmamentu, ale jest i drugi widzialny, cudny błękitny firmament; tajemnice jednego odsłania nam astronomja, tajemnice drugiego, religja, a nad obydwoma jest Bóg.

Takie myśli wplatały się w moją poranną modlitwę. Sąsiadka nasza była już na dole, stała nad huczącym potokiem, który sam jeden zagajał szumną wymową to milczące posiedzenie natury; kilkoro ptasząt wodnych trzymało się u brzegu, maczając zarazem skrzydła w wodzie i opierając się o szmaragdową trawę; żaden z nich nie śmiał wysunąć się na fale, widząc, że się na nich nie utrzyma; była to prawdziwa roztropność owych słuchaczy, co się nie chcą dać unieść na falach grzmiącéj wymowy. Z uśmiechem spojrzałam na te ptaszki, a sąsiadka nasza zobaczywszy mnie w oknie, skinęła na mnie kryształowym kubkiem, który w téj chwili właśnie błysnął w jéj rękach promieniami słońca. Za chwilę byłam już na dole i oglądałam z upodobaniem szerokie skrzydła okrągłego kapelusza sąsiadki, zdobnego dwiema zielonemi wstążkami. Ten ubiór w połączeniu z suknią nie zbyt długą, dawał jéj fizjonomję pasterki, nadobnéj sielanki, którą się równie mile jak kwiatek spotyka na zielonych łąkach. Była ona Szlązaczką, pochodzącą z rodziny od wieków tutaj osiadłéj; Słowiańskie rysy i resztka mowy polskiéj przeglądały przez germańską kulturę, jak przez płyn mętny przeglądała na dnie filiżanki niezapominajka malowana. Dziwnie mnie uderzało to połączenie. Ta dziewczyna stała przedemną jak uosobienie całéj szląskiéj ziemicy; wypowiedziałam jéj myśl moją, i pochwaliłam ubiór. Na pierwsze skinęła głową w zadumaniu, na drugie uśmiechnęła się, i rzekła:

— U nas ubiór musi odpowiadać przeznaczeniu swemu, to jest służyć ku wygodzie: szerokie skrzydła kapelusza osłaniają nas od słońca, suknia umiarkowanéj długości nie przeszkadza nam w domowych obrządkach. Materjały mocne lecz nie zbytkowne; całą świetnością porządek i krój udatny, a co się ujmie na wykwincie szat naszych, to się odnajdzie w zamożności dobytku, sprzętu domowego, w skrzyniach córek naszych i w zapomogach zebranych dla synów.

Ta loika niezmiernie mi się wydała trafną; sąsiadka, widząc moje zamyślenie, podała mi kubek jasnéj jakby z djamentów zrobionéj wody, zaczerpniętéj w Bielen Quelle, nazywanem także, źródłem zdrowia. Wypiłyśmy obie na dobrą wróżbę i puściłyśmy się w stronę potoku, wzdłuż którego z lewéj strony snuły się góry dojrzałem okryte zbożem, a z prawej rozesłane na około liczne domy gości kąpielowych, wykwintne restauracje, hotele i ogródki.

Landek bez zaprzeczenia liczyć się może do rzędu najpiękniejszych wód ziemi Szląskiéj; położony w pośrodku téj krainy tak żyznéj, bogatéj, rozkwitającéj, tak w wszystko posażnéj, że aż się westchnienie za nią dobywa, zgromadza corocznie mnóstwo osób z okolicznych ziem pruskich i polskich. I od Poznania i od Mazowsza i od Krakowa spotkasz tam znajomych, i miło ci widzieć, że niesłusznym jest poniekąd zarzut, jakobyśmy tylko w wyszukanych, a dalekich stronach i pobrzeżach Vichy, Nicei, Plombières, Biaritz i Marsylii, szukali ratunku dla zdrowia, zaniedbując te wszystkie skarby jakie nam krajowe lub poblizkie okolice obficie szafują, w cudnem świeżem powietrzu, w zdrojach, serwatki kubku, prostéj swojskiéj, a ożywczéj naturze i w strugach zdrowie dającéj wody. Oddychając tutaj pachnącemi wyziewy świerków niebotycznych, posępnych jak cyprysy, a wonnych jak kadzielnice, widzisz dopiero, jaką byłaby niesprawiedliwością obojętność naszych wędrowców, i mimowolnie wdzięcznie patrzysz na miejsca, co zetknięte z twą ziemią ojczystą, nie wiele cię fatygi i pieniędzy kosztują, przynosząc zdrowie tylu osłabionym, nerwowym, zreumatyzmowanym, a jasnością swego powietrza i blasku kwiatów swoich, składają zwolna na rumieniących się licach pacjentów. Co rok kilka tysięcy osób odwiedza podwójne źródła Landeckie, w rzeczywistości mało różniące się między sobą, z których jedne nieco cieplejsze, a zatem i mocniejsze być mają. Tego roku także wszystkie wille i willijki były pełne, a położenie kąpieli jest prześliczne: domki wstępują jedne za drugimi na coraz wyższe góry, każdy większy budynek wydaje się małą świątynią mającą swój przedział skalisty, a wszystko razem zawinięte zielonością obszernéj tak nazwanéj promenady, do któréj brzegów przyczepiły się najwykwintniejsze mieszkania, najokazalsze sklepy i codzienne życie gości. Tutaj widzisz w oknach towary łokciowe kupców przybyłych z Wrocławia, a przededrzwiami flanelowe kostiumy do kąpieli; tutaj ujrzysz szkła czeskie, sprowadzone z Glatz i z Rajnertz; filiżanki z rozczulającemi napisami: Nie zapominaj mnie, Dar serca, Westchnij za mną, i t. d. i wyroby miejscowych mieszkańców gór, po

największéj części z mchu, kory i gładkiego drzewa, zdobne widokami Kursalu, promenad i miasteczka. Wstępując wyżéj między drzewa, spotykasz się z źródłami mineralnemi: tutaj właśnie znajdują się w niewielkiéj od siebie odległości, Marianen-Brun i Wizen Quelle, wraz z obszerną i długą galerją do chodzenia, nazwaną Albertshalle; tutaj są domy kąpielowe Georgen-Bad i Marianen-Bad, wraz z przytykającemi do nich katolickiemi kaplicami. W obydwóch łazienkach, oprócz obszernych bassenów, są pojedyncze wanny ze szląskiego białego lub błękitnego marmuru. Już od szóstéj z rana, chorzy kręcą się koło obydwóch źródeł, muzyka gra, przekupki przedają pierniki na zakąskę, lekarze miejscowi doglądają swoich pacjentów, uśmiechając się do nowo-przybyłych; od szóstéj także godziny napełniają się basseny obydwóch łazienek wodą, wprost ze źródła idącą, mającą gorąca naturalnego dwadzieścia trzy stopnie. Basseny są okrągłe; sklepienia w kształcie kopuły, z oknami z szyb kolorowych, prześliczny sprawiają effekt, ale niełatwo dostać się można do błękitnego eldorado, są pewne ceremonje i próby, przez które przejść potrzeba. A najpierw musisz się przedstawić miejscowemu lekarzowi, bez jego bowiem pozwolenia nie sprzedadzą ci biletu; uposażony takiem pozwoleniem, idziesz do ekspedycji biletów, która dla goszczących w Landek jest zarazem biurem policji, biblioteką, miejscem wymiany pieniędzy i wszelkich objaśnień i informacji. Tam więc kupujesz sobie bilet, płacisz za niego na nasze pieniądze złotych jeden groszy dwanaście; wówczas otworzą się dla ciebie czarodziejskie podwoje, Georgen-bad i śród błękitnego światła rzuconego z szyb górnych na wodę i ściany bassenu, ujrzysz śnieżne płaszcze kąpiących się, a ich zidealizowane twarze, owinięte jakby w białem obłoku, przypomną ci najświetniejsze dekoracje z jeziora Wieszczek lub czarodziejskiéj lampy Aladina. Urok ten wszakże największym jest dla patrzących się z zewnątrz bassenu, przez kolorowe okienko u wejścia; dla kąpiących się jest tam mniéj złudzenia: nieprzyjemny zapach wody, widok blizki chorych, bladych, smutnych, bez czarodziejskiego przedstawiających się woalu, a do tego myśl, że woda raz wprowadzona do bassenu, przez cały dzień służy dla wszystkich bez zmiany, musi koniecznie ujmować zadowolenia..... Niektórzy chorzy z kąpieli udają sie wprost drogą wyniosłemi sadzoną drzewami do Frideriks Quelle; jest to także maleńki bassen w okrągłéj umieszczony sali, z którego gorąca podnosi się para; cierpiący bóle gardła wciągają w siebie tę parę, udzielającą się także ich sukniom całkiem nieraz zwilgotniałym; zdrowi spieszą ku promenadzie, siadają na ławeczkach przed cukiernią lub przechadzają się, słuchając walców Strausa, rozlegających się pod drzewami. W obszernéj sali Kursalu, słychać także fortepian; przystanęliśmy raz chwilkę, na głos uroczystéj i głębokiéj muzyki Glücka, ale to już były ostatnie akordy; wnet lżejsza ręka sunęła po klawiszach i z ucieczą naszą zabrzmiało niespodzianie:

„Szumią jodły na gór szczycie!...” Jodły landeckie szumiały rzeczywiście w oddaleniu; spojrzałam ku nim, a potem w stronę gości kąpielowych, znudzonych, szukających naokoło jakiegoś łupu nowego dla swéj ciekawości... Ścieśnieni w jednem kółku ławek promenady, wydawali się być pokutującemi duszami, przeznaczonemi na klikotygodniowe kręcenie się w jednem miejscu. Strach podobnego losu i nas przejął także; ale w tejże chwili po nad wyżynami chorągiewki Kursalu i Albertshalle błysnęły wyżyny gór i jodeł szumiących na szczycie złocistem oblanych słońcem; tam była ucieczka dla kochających przestrzeń i wolny oddech. Zaledwie myśl utorowała sobie to wejście, a już z serca i z czoła odpadło znudzenie i wesoło dokończyliśmy przechadzki, szczęśliwsi od drugich nadzieją układanéj na jutro wyprawy. Tak to i w życiu nieraz się zdarza jednako śród ciężkich losów, jedni zginają się do ziemi, drugich twarz jaśnieje uśmiechem spokoju, bo ci ostatni wypatrzyli sobie, dojrzeli gdzieś na wyżynach Niebios święte nadzieje przyszłości, a wiara w te nadzieje, daje im swobodę i energję do dźwigania obecnéj chwili.


Pobiegła Anusia z koszem nakopać ziemniaków, — (str. 393, szp. 1).
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie Sosiński).

Sąsiadka nasza, pragnąc także wysunąć się z tak nazwanéj promenady, przyjęła propozycję małéj wycieczki i wyruszyliśmy w stronę świątyni lasu tak nazwanéj Waldtenpel; prowadziła do niéj droga wstępująca na górę śród ślicznych trawników i drzew pachnących. Minęliśmy samotną marmurową studzienkę; widok przepyszny gór, ogrodów i mieszkań ludzkich rozwijał się przed nami. Coraz okazalsze drzewa, coraz większa cisza i samotność, prowadziły nas ku świątyni, która witała nas zdaleka wspaniałemi kolumnami. Oby tak zawsze widzieć ją zdaleka i nigdy się do niéj nie zbliżać! Kolumny greckiéj architektury, wkrótce nam się zmieniły w proste drewniane belki, a cała świątynia, zamiast ukrywać jakie alegoryczne bóstwo, była po prostu pustym bufetem, z powywracanemi ławkami i z rozbitym kuflem na środku stołu. Nie żałowaliśmy jednak naszéj drogi, bo na około roztaczający się las był prawdziwą świątynią pełną, majestatycznéj ciszy, ciemności i woni; gęste świerki tłoczyły się jedne na drugie; pośród dzikich jagód i jarzębin, z trudnością przedarliśmy się nieco w głąb' téj prawdziwéj puszczy... Wszystko milczało w spokoju, zdaleka tylko, niby tętnienie galopującego króla lasów, brzmiało w uszach miarą owego Szyllerowego wiersza:

„Kto pędzi, kto porze mgły gęstéj tumany?”

W głębi drzew ostatni promień słońca błysnął, jak obietnice pereł i djamentów, uczynione przez króla lasów nieszczęśliwemu dziecku wieśniaka; strach nas przejął... Król lasów zdał się być niedaleko, dotykał już zimnem ramieniem, a radość skonała w ustach, jak dziecię wieśniaka skonało na rękach ojca. Skruszeni, wzruszeni, wyszliśmy z lasu

oglądając się na jego gęste zieleniejące się ściany, w których jak w prawdziwéj świątyni, rodzić się mogą posępne legendy, świetne pieśni i piękne myśli poetów. *Antonina Machczyńska.*

WNUCZKA PRZEKUPKI.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 47 i 48).

II.

W miesiąc potem Marcinowa znacznie podupadła na nogi, chodzić mogła z trudnością z koszami na plac, a chociaż nigdy nie narzekała, czuć było smutek i tęsknotę do spopielałéj ojcowizny. Po miesiącu nie chciała już daremnikiem mieszkać u pani Kazimierzowéj, która musiała naznaczyć małe komorne ubogiéj wdowie. Anusia pracowała jak mrówka, snu ledwo trzy godziny pozwoliła oczom; zbladły nieco różanne lica, lecz tem była śliczniejszą, podobną do nadziei przysłoniętéj chmurką. Gdy babunia słabszą była, smutniało niebożę, modląc się ze łzami. Jednego ranka Anusia pobiegła do kościoła na mszę świętą, a jakiś nieznajomy oddał list Faustynie, prosząc o wręczenie pannie Annie. Za powrotem Anusi, Faustyna list jéj wręczyła, po rozpieczętowaniu — 50 rubli, jak żywa pokusa wylazły z koperty.

Zkąd, od kogo? dziwiły się babka i wnuczka. Takie wsparcie, w tak ciężkim czasie?! To jakiś grzeszny pieniądz, przyjąć go nie można. Odnieś Anusiu do księdza i poproś niech się tym groszem rozrządzi jak mu się zda najlepiéj.



Chora podniosła się z łóżka, i rzekła... — (str. 394, szp. 2).
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie Sosiński).

— Tak najlepiéj babuniu, tyle od nas biedniejszych i więcéj znanych, wsparcia otrzymać nie może, zkądże dla nas ta łaska?

Anusia wnet zaniosła pieniądze, a ksiądz miał je rozdzielić między najbiedniejszych.

Przy zgliszczach dworku Marcinowéj był zasiany ogród, w nim trochę warzywa, trochę ziemniaków, które ogień oszczędził.

Pewnego wieczora, pobiegła Anusia z koszem nakopać na wieczerzę ziemniaków, gdy ktoś z nienacka powiedział— dobry wieczór pannie! Odwróciło się dziewczę— brunet tuż przy niéj, a taki wystrojony, wypachniony, i prawdę mówiąc przystojny bardzo mężczyzna.

Strwożyła się Anusia, lecz kopie daléj.

— Panna odrzuciła w deszcz mój parasol, może teraz pozwoli kopać razem kartofle?

— Dziękuję panu, ja sama nakopię. Już chciała odejść, gdy brunet zbliżył się do niéj i miał ją wziąść za rękę.

Spojrzała tak na niego, że się odsunął i ręce puścił. Anusia cisnąc szkaplerz do piersi szła spiesznie do domu, brunet z oka jéj nie spuszczał, rozbierał w myśli jéj wdzięki; jednem słowem, lubował się jak pięknem cackiem, które można zdruzgotać, gdy bawić przestanie.

Odtąd Faustyna chodziła do ogrodu, Anusia nosiła niekiedy czepki na rynek, potrzeby coraz bardziéj dociskały, a Marcinowa co dnia zapadała gorzéj. Już i korale Anusi, pamiątka matczyna, poszły na lekarstwo, i parę już się sprzedało zbywających poduszek. Sąsiedzi ile mogą dopomagają sierotom, lecz wszystkim ciężko i o grosz trudno.

Kunegunda, widząc w kościele spłakaną Anusię, rozwinęła przed nią czarnéj przyszłości obraz, gdy nie przyjmie pomocy zacnego człowieka, co za całą nagrodę wymaga tylko, widzieć niekiedy Anusię.

— Bóg nas nie opuści, ja pracować mogę, babunia wyzdrowieje, są dobrzy ludzie na świecie, lepiéj nam będzie jutro.

— A jeśli babunia umrze,—co poczniesz sama jedna?

Westchnęło żałośnie dziewczę, i rzekło:

— Jeżeli nie umrę z babunią, Bóg jeszcze żyć każe, to nie zapomni o mnie, da i mnie miejsce na świecie.

— Oj dziecko, dziecko, nie wiesz co to nędza:— jak koszula z plec spadnie, obówie z nóg zleci, oczy z głodu zapadną, wypełznie jasny warkocz z troski, pokruszą się białe ząbki od zeschłego chleba, nikt nie przyjdzie z pomocą. Na młodą powiedzą, że z niecnoty zmarniała, na starą,—że próżniaczka, lubi chleb żebraczy. Dzisiaj dopóki czas, nie odpychaj szczęścia, to Boska Opatrzność taki dobrodziéj. Powiedz słówko, jutro własny dom mieć będziesz, babunia pozdrowieje, ludzie szanować będą, powiedz słówko panno Anno.

— Chleb jeść darmo byłoby wielkim grzechem i nieposzłoby na zdrowie. Jeżeli ten pan tak dobry i bogaty, niech zapomoże biednych co zapracować nie mogą; my nic od niego przyjąć nie możemy.

— On pannę Annę ubóstwia, chce się z nią rozmówić i o rękę prosić.

— I cóż mu powiem, ja prosta dziewczyna, jemu los dał widać wszystko gotowe, nam Opatrzność kazała pracować i dzięki Jéj za to.

— Pożałujesz panno Anno swego uporu; czas jeszcze, powiedz słówko, szczęście u progu.

— Babunia moja była na opiece ś. p. kasztelanki Lipskiéj, która jéj zawsze mówiła: „pamiętaj Bogusiu, że próżniacze szczęście jak mgła nie trwałe, i stokroć cięższe od niedoli pracujących ludzi." Wreszcie Opatrzność ma dłoń ciepłą dla tych co ją kochają, nie dziś to jutro, a wejrzy na nas.

— Daj Boże, ale pamiętaj panno Anno, że w każdéj biedzie ja dopomogę. Brat mój umarł, zostawił trochę rupiecia i grosza po ludziach.

Anusia czuła, że Kunegunda kłamie, tembardziéj, że jéj nieraz mówiła babunia:—„nie proś o nic Kunegundy, to fałszywa kobieta."

Doktor kazał pić Marcinowéj od kaszlu dziewannę, na wzmocnienie zaś żołądka — wino zalane na piołun. Wino przyniosła panna Barbara, po ziółka poszła Anusia z Faustyną, Józefowa została przy choréj. Na piasczystéj rozłodze rosło kilka sosen, w około nich srebrzył się piołun, gdzieniegdzie złociła się dziewanna. Kosze napełniają się ziołem, pusto dokoła, lato już na schyłku, skowronki śpiewają na pożegnanie, a żaden nie chybi nuty: tak nastrojone gardełka. Popielate, przedjesienne chmurki, włóczą się samopas po Niebie, słychać tylko tentent konia; nadjechał brunet, zsiadł z wierzchowca i podszedł do Anusi.

— Zawsze mnie serce powie, gdzie panna Anna, możem natrętny, proszę choćby o spojrzenie.

— O mój Boże! czyż moje spojrzenie warte prośby?

— Dla mnie jest tylko dwoje oczu na ziemi i jedna istota na świecie—nią panna jesteś!

— Doprawdy, że nie rozumiem tego. Babcia i ci co mnie kochają nigdy tak do mnie nie mówią; w książkach nie czytałam nic podobnego.

— Czy pannę nigdy nikt nie kochał?

— Jakto nikt nie kochał? Babunia mnie kocha, rodzice moi, chociaż pomarli, pewno mnie kochali; sąsiedzi nasi bardzo mi życzliwi.

— A panna czy się w nikim jeszcze nie kochała?

— Ja ciągle kocham, od kolebki mojéj; gdyby mi serce na chwilę ostygło, miałabym siebie za umarłą.

Nie ma z nią rady, nic nie rozumie, bez ceremonji trzeba ująć w sidła, bo szkoda czasu na tak naiwny romans, myślał sobie brunet.

Tyle mu się udało planów podobnych, tyle serc zhołdował, pamiątek i fotografij ma już bez liku, łez kobiecych rzeka na sumieniu; arcy-mistrz w sztuce sideł, a przez cztery miesiące ani na krok się nie posunął w sercu biednéj sieroty. Nie pojmował, że istota czysta w duszy, opatrznie wychowana, ma wewnątrz siebie stróża, co ją mimowiednie chroni od złego.

Zbyt często, nawet kochające matki — wiodą swe dzieci do zguby, gdyż bez wyższego natchnienia, li-tylko w książkach i suchych morałach, uczą się same jak je wychowywać. Z torbą przestróg i wokabuł cnoty, ciężko i nudno biedz przez życie, prąd młodości wnet ją zrzuca— często w najbliższą kałużę. Lecz gdy choć jedna z tych przestróg przeniknie w duszę dziecięcia, wszystkie inne z niéj się wypromienią, i coraz lżéj w życiu, i coraz weseléj w sercu, i coraz jaśniéj na świecie; a tuman powszedniego zamętu z całem stadem swych mamideł, pokus lub kłopotów i cierpień, nie dojmie nas na wyżynie ducha i dreszczem wstrętu poczujemy powiew zatruty — jak uchem, grzechotnika zbliżenie. W czystem tchnieniu rodzicielskiéj duszy, jest siła wiodąca do spełnienia rozkazu; jéj powiew jest chrztem ducha, on to zażega duszyczkę dziecięcia ogniem cnoty, którego nawał błędów tylko przyćmić, nigdy zagasić nie może. Bez tego ognia wszelka nauka martwą będzie, z nim—i prostaczek może być świętym — czującym i pełniącym swe obowiązki rodzinne i zarodzinne, z instynktową świadomością tego, co się ludziom od człowieka, co człowiekowi od ludzi należy, podług praw Bożéj myśli, rządzącéj światem. Takim prostaczkiem była Marcinowa, taką siłą kazała być cnotliwą Anusi.

Przed samą jesienią nastały dnie ciężkie, wyczerpały się środki, Marcinowa coraz słabsza, na rynek nie ma co nosić, czepeczki kto inny sprzedaje, Anusia prawie nie wychodzi z domu, pannę Barbarę los rzucił w dalekie strony, sąsiedzi acz sprzyjają, nie są w stanie dopomódz, tak ciężkie czasy tak, trudny kęs chleba. Kunegunda śledzi krok każdy, liczy biedy sierot, kusi pieniądzem i dobrodziejem, lecz Anusia nie przyjmuje, nie mając nadziei wypłacić się z długu. Odzieżka i pościel już sfantowane, przepowiednia Kunegundy spełniać się zaczyna, bielizna z plec spada, bieda nalega, a tuż obok pomoc, wygoda, na skinienie ręki czatują u progu. Byle na chwilę zapomnieć o Bogu, uśpić ducha, prawdę w letarg wpędzić — zdrój uciech otoczyłby sieroty, bieda uciekłaby na suche lasy. Lecz kto raz całą duszą Bożą myśl ukochał, w czyjem sercu przyjęło się ziarno wiary, ten choćby prostaczek, stanie na równi z mędrcem i wspólnie krzyż poniosą.

Marcinowa już prawie bez nadziei życia, brunet, licząc tętna sierot niedoli, napędza Kunegundę, by mu ułatwiła widzenie Anusi.

— Pójdź pan sam pod wieczór, stara bezprzytomna, gdybyś Anusi nie znalazł w sionkach, możesz do stancji wejść bez ceremonji. Teraz tam taka nędza, że dziewczę nie ma czem okryć pięknego ciałka. Idź pan, idź, to najlepiéj będzie.

Posłuchał brunet rady Kunegundy, i pod wieczór poszedł polować na pomyślną chwilkę. Zaczajony za krzakiem bzu, blizkim drzwi siennych, spostrzegł Anusię siedzącą w sionkach na progu. Spuszczoną miała głowę, łezki spadały na złożone ręce, widać, że się mocuje z żalem, że ból i ciernie obsiadły do koła. Kto wie, jaki tam obraz przed nią się rozwijał: na dni zaledwo liczy swoje życie, a już w to serce świeże, ból kamieniem ciska. Może z gromnicą idzie za trumną babki, może nędza rozwiesza swe kiry między nią i Niebem? Podniosła głowę, otarła oczy, twarz jéj wyjaśniała; lichy człowiek, syn lichéj zasady, zbliżył się do niéj z ubolewaniem, że ją dawno widział, że taka smutna, że przyszedł z pomocą.

— Kto tam mówi z Anusią, niechaj tu wejdzie, zawołała Marcinowa z izdebki.

Anusia weszła i on wpadł za nią.

Na ubogiem łożu leżała chora, wielkie jéj oczy górowały nad zapadłą twarzą; czoło wysokie okryte siwym włosem, a na schorzałem licu rozlany spokój i silna wola. W izdebce uboga czystość, świeca żółta woskowa, podarek zakrystjana, pali się wielkim płomieniem, Marja z Synem, jedyną ozdobą ściany.

Chora podniosła się z łóżka, i rzekła spokojnym głosem:

— Pan przyszedłeś zobaczyć jak biedny umiera, jak przy śmiertelnem łożu grzechy zasiewać. Czego pan tu chodzisz i czego szukasz? Tam gdzie śmierć i krzyż stoją u progu, tam grzechom ciasno, tam nie trzeba złota.

— Możebym poznawszy bliżéj wnuczkę pani, z nią się i ożenił, wyjąknął brunet.

— Gdybym w to nawet mogła uwierzyć, cóż byłoby z tego? Za miesiąc wypędziłbyś sierotę, na nic już niepotrzebną. Pan w swoim świecie znajdziesz sobie żonę, nam daj pokój. Pański Bóg nie lubi łez,

uciechami żyje, a nasz kazał nam kochać, pracować i choćby w łachmanach, dojść poczciwie do grobu. Wybacz pan prawdę prostéj kobiecie, zapomnij pan o nas, niezapruszaj nam wody,— którą nas ochrzcili.

(Dokończenie nastąpi).

L A L K A.

Jakaż to piękna lalka! jaki powab nowy!
Szkoda, że nie posiada ruchu, ani mowy!
Tak mówił mały synek. Ojciec mu odpowie:
Na nic się nie zda piękność, kiedy pustki w głowie.
Człowiek, co powierzchowność samą tylko zdobi,
Do lalki malowanéj podobny się robi.
Martwy posąg innego uczucia nie sprawi,
Nie przemówi do duszy, tylko oczy bawi.

I. F. S.

M Ł Y N A R Z.

Dla młynarza na wiosnę,
Były chwile radosne,
W stawie wody dość przybrało.
Dla tego się nie trwożył,
I upusty otworzył.
Pędzi woda, aż w lecie było jéj zbyt mało.

Gdy posiadasz dostatki, nie żyj bardzo szumnie,
Ale ich w każdéj chwili, używaj rozumnie,
Bo kto więcéj wydaje, niźli ma dochodu,
Niezawodnie doświadczy w dalszym czasie głodu.

I. F. S.

KRAKOWIANKA.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 44, 45 i 47).

III.

Było to na wiosnę koło świąt Wielkanocnych. W chacie Ambrożego krzątali się jak zazwyczaj przed świętem: to piekąc kołace i gotując jajka na święcone, to wreszcie gotując czystą bieliznę do ubrania, i uprzątając we wszystkich izbach do porządku i czystości. Maryna krzątała się jak zawsze, raźna ochocza, śpiewająca. W samą Wielką Sobotę, najwięcéj było uwijatyki: Ambrożowa z Maryną od rana do wieczora zajęte, pracowały bez przestanku, a sam Ambroży poszedł do Krakowa, aby zwiedzić siedm kościołów z grobami Pana Jezusa, i dopiero pod sam wieczór powrócił do domu. Wchodząc do izby, gdy się z wszystkiemi przywitał i ucałował ręce leżącéj z niemocy babuli, siadł na zielonéj skrzyni pod oknem i zaczął gadać: Byłem sobie nie chwaląc się w siedmiu kościołach na grobach; prześlicznie były poubierane, a szczególniéj też podobały mi się te kaczki pływające w naszéj parafii, na Piasku, i Boża męka obracająca się koło lampek. A gdym obszedł groby, spotkałem się z Antonim na Sławkowskiéj ulicy. Patrzę, że jakoś smutny; ano więc trza do niego zagadać. Zbliżam się; witamy się; a on mi rzeknie: Chodźcie kumotrze do Robaka na szklankę miodu, to wam opowiem moje utrapienie.

— Który Antoni? zapytała się Ambrożowa, ustawiająca w szklanéj szafeczce otarte już szkła i naczynia gliniane, czy to ojciec Piotrusia?

— Ten sam, odpowiedział Ambroży. O nic mu też innego niechodzi, jeno o tego Piotrusia.

— A cóż mu to stryjaszku? zapytała się troskliwie Maryna, pierwszy raz zdradzająca swoje zainteresowanie się Piotrusiem. Ale tego nie spostrzegli Ambrożowie, i on tak daléj opowiadał: Biedak ciągle mu jakoś desperuje, i nie chce nic robić, i nie zdrów, a tu do tego wszystkiego chcą go teraz oddać do wojska.

— Do wojska? jeszcze troskliwiéj zapytała się Maryna.

— A do wojska, do cesarskiego. Teraz straszna branka. Zaczęła się we środę i po Piotrusia przysłali już, żeby się stawił we wtorek po świętach.

— O! to bieda, zauważyła Ambrożowa.

Maryna zaś odwróciwszy się w kąt izby, zaczęła płakać.

— Jeszcze biedaczysko Antoni ma i to strapienie, że mu siostra umiera, a oto musi pożegnać się z parobkiem, który się tak powiada męczy, że ani nie doje, nie dośpi; tylko jak błędny chodzi, jakby się go błąd chwycić miał jaki. Doprawdy, strasznie mi było żal Antoniego. A tak my się jakoś rozgadali przy miodzie, tak my się rozserdecznili, żeśmy z godzinę przesiedzieli u Robackiego, czyli, jak go to zowią, Robaka; i Antoni wypowiedział mi wszystko, co tylko miał na sercu.

Maryna zbliżyła się wtedy do Ambrożego, i ukrywając swój głęboki frasunek, zapytała się: A czyby też nie można jako poratować tego Antoniego.

Ambroży wpatrzył się w oczy Maryny ciekawie. Nie dziwną mu wprawdzie była litość jéj dobrego serca nad nieszczęściem bliźniego; ale zastanowił go ten dreszcz głosu, z jakim wymawiała to zapytanie; opowiadając więc rzecz swoją daléj, mówił: Starał się już Antoni wszelkiemi sposobami, o przywrócenie zdrowia swemu synowi.

— Jakto? więc Pietrek chory także? zapytała się wreszcie Maryna z niedającą się już ukryć boleścią.

— Tożci wam mówiłem, że już trzy lata, tak okropnie pokutuje, jak zaklęta dusza, a nikt nie może wynaleść ratunku na niego.

— Maryna zamyśliła się; ale po chwili znowu zapytała się: ale to wojsko?

— Ej, o wojsko to mniejsza, trudna rada. Każdy musi odbyć swoje lata, ale żeby tylko wrócił zdrów z téj wojaczki do domu.

— A kiedy chory, to go nie powinni brać na żołnierza, zagadnęła Maryna, coraz żywiéj i śmieléj mówiąca; ale już zręcznie ukrywająca swoją trwogę, bo się zmiarkowała, że za zbyt może jawnie wypytywała się o Piotrusia! W duszy jednak i w sercu jéj straszna toczyła się walka. Ambroży tymczasem zaczął o czem innem opowiadać, a wtedy Marynka wybiegła do sadu.

Myśli plątały się w jéj główce okropnie, serce uderzało silnie i gwałtownie; a ona rozmawiała ze sobą i nie śpiewała już pieśni żadnych tego wieczora, ale pieśnią jéj całą był gorzki i serdeczny płacz, który nad nieszczęśliwym Piotrusiem zawodziła.

Boże mój Boże! Cóż ja teraz zrobię? Oni go wezmą; kto wie gdzie zapędzą! A ja z nim mówić nawet nie mogę! O Boże mój drogi! Czemużeś mię też takiem nieszczęściem ukarał. Cóż ja tu będę robiła jak go wezmą, uwiozą za morze het! daleko. O Matko święta, o Jezusie święty, zlitujcie się ach! zlitujcie nad nami. I tak zawodząc płacz żałośliwy, klękła na ziemi, z któréj się dopiero mała trawka wydobywała wiosenna, i modliła się o miłosierdzie nad nim i nad sobą. Wypłakawszy się i namodliwszy powróciła do izby, ale strasznie niespokojna, sturbowana. Z Ambrożym mówiła ciągle o tych

młodych parobkach, których biorą w rekruty, jak długo muszą służyć, i czegoby to potrzeba, aby ich od tego uwolnić.

— Ho, ho! moja droga Maryno, odpowiedział jéj na to: trzebaby do tego wielkiéj sumy. Ledwieby może wystarczył cały twój posag, któryśmy uskładali dla ciebie.

— Wiele to, mój stryjciu, pytała się całując go w ręce.

— 500 złotych reńskich.

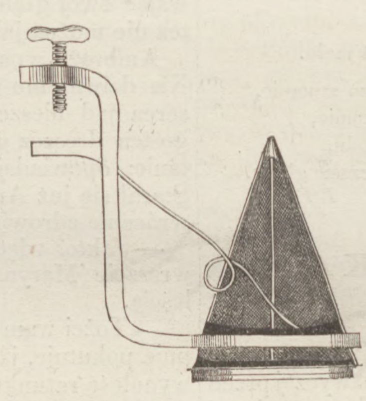
— Ho, ho! mój Boże—toć znowu straszna szkoda tracić tyle pieniędzy. A Antoniego nie stać na tyle? zapytała się potem po cichu, bojąc się jednak, czy to zapytanie nie wykryje przypadkiem jéj tajemnic.

— A zkądżeby go stać było na taką gotówkę, moje dziecko, mówił Ambroży, nie podchwytując wcale jéj pytania. Antoni wprawdzie ma się dobrze ale gotówki takiéj to tu żaden z naszych kmieci nie ma.

— A wy macie stryjaszku?

— Tyle także nie mam w pieniądzach; ale moja droga, ja gdybym miał syna, tobym go pewnie nie wykupywał. Niech idzie w świat. Niech doświadczy biedy, a jak jest poczciwy, to powróci do domu i zdadzą się mu prędzéj wtedy pieniądze; bo jakbym go wykupił, toby mu może zabrakło, a zkądże wziąść wtedy. A zresztą 500 reńskich, to nie łatwo darować..... *(D. c. n.)*

Stożkowy filtr Bellina.



Stożkowy filtr.
(Rysował i wyciął na drzewie Kuczyński).

Filtr ten patentowany, upowszechnia się coraz bardziéj w użyciu praktycznem we Francji, zwłaszcza Paryżu, a to z powodu wielkiéj swéj dogodności w praktyce. Ulepszenia Bellina w sposobie przecedzania płynów, zasadzają się na użyciu stożka z płótna metalowego, czyli drobnéj siatki drucianéj, służącéj do przyśpieszenia cedzenia wszelkiego płynu, a szczególniéj płynów cukrowych. Korzyści tego nowego przyrządu są głównie następujące: nie przylega do boków filtru, użyta do cedzenia bibuła lub filc, ztąd i samo cedzenie odbywa się dokładniéj; nie potrzebną jest dziurka w końcu tego stożka, którą zwykle część płynu nienależycie przecedzona wypływa; otwór ten potrzebnym jest tylko w blaszanych lejkach, służących do przelewania płynów z jednych naczyń do drugich; otrzymuje się przezroczysty zupełnie płyn, dobrze a przytem pośpiesznie przecedzony. Dogodność nareszcie w samem użyciu jest ta, że filtr taki wszędzie można do stołu przyszrubować, aby wykonać za jego pomocą przecedzenie. Filtry takie są różnéj wielkości i stosowne, do tego ceny; w Paryżu można już dostać ich za 6 franków. Sądzimy, że figura dokładnie objaśnia rzecz samą; i że podług niéj będzie można i tu w Warszawie taki filtr wyrobić.

DWANAŚCIORO PRZYKAZAŃ O PILNOŚCI.

Zamieszczamy te przykazania, pragnąc, aby ludzie dobréj woli, a zwłaszcza dzieci, na pamięć ich się wyuczyły, i do nich się stosowały.

1. Mam wyrość na cnotliwego człowieka, przeto powinienem się starać, ażeby codzień, we wszystkiem być lepszym. Kto nie chce być coraz lepszym, ten coraz gorszym się staje.

2. Powinienem być bacznym na wszystko co widzę, co słyszę, czego doznaję,—i starać się, aby coraz więcéj poznawać rzeczy, coraz być rozumniejszym.

3. Kiedy czego nie wiem, albo nie rozumiem, powinienem pytać się o to rozumniejszych, i czynić według ich objaśnienia.

4. Kiedy nauczę się czego dobrego, powinienem stosownie do tego postępować, bo tym sposobem—naukę prawdziwie w korzyść obracam.

5. Nigdy nie będę się wałęsał, albo siedział z założonemi rękoma. Kto nic nie robi, zowią go próżniakiem;—bezecne imię!

6. Kiedy nie mam roboty, wolę się uczciwie zabawić; ale będę się starał ze wszystkich sił, abym jak najprędzéj umiał robić co użytecznego, abym mógł pracować.

7. Chociaż mi robota jaka przykrą się wyda, nie porzucę jéj, bo tym sposobem nauczę się pracować.

8. Będę rad dochodzić przyczyn wszystkich rzeczy, bo nie chcę być zawsze nieukiem, który nic nie umie, i zawsze o wszystko się pyta.

9. Co sam zrobić mogę, do tego innych o pomoc prosić nie będę; dosyć uciekać się do drugich po to, czemu sam poradzić nie zdołam.

10. Koniecznie jest potrzebnem, abym wiedział każdego dnia, każdéj godziny, co czynić powinienem. Kto powinności swoich nie zna, ten ich dopełnić nie może. Będę teraz i zawsze, zastanawiał się nad powinnościami memi.

11. Będę się starał zawsze przestawać z takimi, od których czego dobrego nauczyć się mogę; od złego towarzystwa będę uciekał: bo z kim kto przestaje, takim się sam staje.

12. Daleko lepiéj, ażebym unikał błędów, jak żebym się tłumaczył i wymawiał gdy już są spełnione; lepiéj nic nie zepsuć, jak potem zepsute naprawiać.

ROZMAITOŚCI.

— Indje wysyłają swoje stare kaszemiry do Paryża, a Paryż posyła znoszone suknie damskie do Indostanu. Jamajka i wyspy Filipińskie nadzwyczaj łakną starych francuzkich rękawiczek, rozumie się wyczyszczonych i pachnących. Sześć miljonów par corocznie tam się posyła. Trzewiki i buty wędrują do milionerów w Kalifornji, a wszystkie stare ubrania głowy idą do Domingo, gdzie czarni niesłychanie się pysznią z prawdziwego paryzkiego, zwłaszcza białego ubrania.

— Szybkość lotu orła przed niedawnym czasem w zajmujący sposób wymierzoną została, pewien podróżny w Alpach Graubündenu widział orła w wysokości od 8 do 9000 stóp, przelatującego od jednego wierzchołka góry do drugiego, i mierzył dokładnie czas do tego użyty, wynoszący pięć minut, a następnie odległość w prostéj linji pomiędzy dwoma punktami na wielkiéj mapie Dufura, przyczem okazało się, że odległość ta mogła wynosić do 26,000 stóp. Tak więc orzeł na minutę ulatywał przeszło 2,000 kroków.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.